

# Męka, którą można pokochać

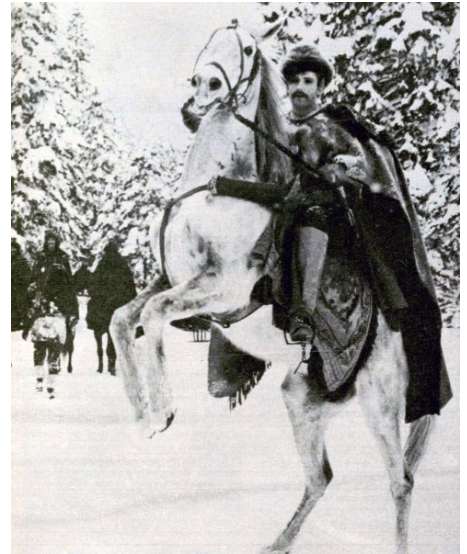
Jacek Żemantowski

*Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prost w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż kolo nich przeciągle gwizdnęły kule.*

*...Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Leżący chłop zawałił cale miejsce. Nieporęcznie, wydierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i bronilo przystępu. Rafał w rozpaczy zwałił je wiosłem, ale tylko zadźwiękło jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i zgrozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlokły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeli wyłom między lodami.*

*...Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam*

*szarpnął barkę za łańcuch i wywlókł z wody na mieliznę w ostoje międzylodowe. Kiedy byli w łozach tamtego brzegu, runęło kilkadziesiąt strzałów. Kule gwizdnęły jak osy, trzaskaly z ostrym brzękiem w lód i rozpryskiwały go na wsze strony.*



STEFAN ŻEROMSKI „POPIOŁY”

**Film Andrzeja Wajdy oglądałem chyba ze cztery razy i zapewne wiele w nim było scen godniejszych zapamiętania, wierniejszych w szczegółach literackiemu pierwowzorowi, a jednak właśnie ta wryła mi się głęboko w pamięć nasuwając na myśl lata dziecinne, skutą styczniowym lodem Wisłę i przeprawę na jej wysoki, lewy brzeg dymiący jeszcze skrwawionymi zgliszczami dopiero co wyzwolonej Warszawy. Kilka miesięcy wcześniej niejeden Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro próbowali forsować pod kulami tę rzekę, żaden jednak nie mógł stanąć na białym, piaszczystym wzgórku, rozkraczyć nogi i wrzasnąć:**

— Niech żyje Cesarz! Przyjdę ja tu do was, psy kulawe!

Rodzinę Daniela Olbrychskiego losy wojny rzuciły do Czerniewa pod Łowiczem, a potem nad Bug. do Drohiczyzna, gdzie spędzi! późniejszy Rafał z Wajdowskich „Popiołów” swe pierwsze, szkolne lata. Malowniczo położone na wysokim brzegu miasteczko ze swym barokowym kościołem w rynku, cerkwią, ruinami benedyktyńskiego klasztoru, atmosferą kulturalnych tradycji tworzonych od czasu Książąt Mazowieckich, ruskiego księcia Daniela. znów naszych książąt, Litwy i Korony — stało się dla młodego chłopca glebą, na której zakwitła romantyczna dusza, rozbudziło się umiłowanie piękna, wrażliwość, ambicja dokonania wielkich czynów. Dopiero w 1957 roku Olbrychski znalazł się w Warszawie, kiedy już cienie secesyjnych podwórek ulicy Nowogrodzkiej i zgiełk metropolii nie mogły odwrócić rozbudzonych wcześniej zainteresowań, tęsknoty za romantyczną przygodą. Nie wiedział jeszcze wtedy Daniel, że stanie się dla współczesnego pokolenia Polaków żywym upostaciowieniem swoich własnych bohaterów, że jego aktorskie osiągnięcia uczynią go kimś, kto nie przemija, tak jak nie przeminał Olbromski, Azja i Kmicic.

Niełatwo jest podjąć decyzję, by z Danielem rozmawiać tylko o sporcie. Po to, by tylko o sporcie w jego życiu i karierze aktorskiej napisać. Wyda je się to jakimś niedopuszczalnym spłaszczeniem,

puszczeniem na manowce tego, co czytelnik sportowej prasy powinien o tym człowieku wiedzieć. A jednak, gdy zaproponowałem taki właśnie temat Olbrychski chętnie przystał na spotkanie. W dniu, kiedy Hamlet i Beniowski zwolniony był od próby, a na deskach Teatru Narodowego sposobiono się do „Wesela”, usiedliśmy między przyodzianych w ludowe stroje aktorów i rozpoczęliśmy rozmowę.

„Dziwiono się kiedyś, że w najtrudniejszych, wymagających ogromnej sprawności i ryzyka, czasem wręcz niebezpiecznych scenach nie chciałem mieć dublerów. A ja po prostu musiałem od początku do końca grać całym sobą, przeżyć swą rolę prawdziwie, do końca. Mówi się, że praca aktorska jest to natchnienie. A ja myślę inaczej. **JEST TO ZWYKŁA MĘKA. NIERAZ GWAŁT ZADAWANY SWOJEJ PSYCHICE. CIAŁU, ŚWIADOMOŚCI. WYSIŁEK. KTÓRY DOPIERO WYKONANY DO OSTATKA. MOŻE PRZYNIEŚĆ PEŁNE ZADOWOLENIE. KTÓRY MOŻNA POKOCHAĆ.** Nie mógłbym patrzeć na film, w którym ja tylko czasem jestem rzeczywiście sobą, a czasem jest to ktoś inny. Nie cofałem się przeto nigdy przed podjęciem żadnego trudu, by sprostać roli, by sprawdzić na sobie co naprawdę przeżyć by musiał bohater, w którego się wcielam. Trzeba zawziętości, pokonania wewnętrznego oporu przed pracą nie zawsze w chwili wykonywania przyjemną. A tego właśnie nauczył mnie sport. Tak się złożyło, że od szkolnych lat jakby sterowany niewidzialną ręką uczyłem się tego, co dziś dopiero procentuje. Byłem prawdziwym szermierzem i jeźdźcem, biegaczem i bokserem, dżudoką i hokeistą. W szkole teatralnej i filmowej nie ma tak bogatego programu, dlatego aktorzy potrzebują dublerów. Ale sport daje nie tylko sprawność, uczy też czego innego: wiary w sens jałowego na pozór wysiłku, samozaparcia, krytycznego spojrzenia na siebie.

Przypominam sobie przygotowania do roli Rafała w „Popiołach”. Sam prosiłem reżysera, aby wzbogacił scenę z przeprawy przez rzekę, tak abym mógł skakać z kry na krę. wzmagać uczucie grozy, kiedy świszczą kule, a pode mną czerni się otchłań. Uczyniłem tak dlatego, że właśnie w dzieciństwie, w Drohiczynie, kiedy wiosną pękały lody nie' zdając sobie sprawy z śmiertelnego zagrożenia pędziliśmy z chłopakami nad Bug bawić się w berka na pływających krach, przeskakiwać z jednego płata lodu na drugi, żeglować nurtem rzeki z kijami w rękach, służącymi raz to do wiosłowania, raz do odpychania od dna mielizny. W „Popiołach nie bałem się tego, że zwicznę nogę czy wpadnę do lodowatej wody. To było wliczone w cenę ryzyka, które podjąłem i dla przyjemności i dlatego by móc swą rolę grać samemu od a do z.

Gorzej było z koniem. Nigdy w życiu nie miałem sposobności dosiąść wierzchowca i teraz. gdy wiedziałem że zamiast mnie w najpiękniejszych scenach wystąpi wprawny dubler, postanowiłem za wszelką cenę opanować sztukę jeździecką. Zgłosiłem się do sekcji Legii przy ulicy Kozielskiej, do rotmistrza Olędzkiego i powiedziałem po prostu: — Za dwa miesiące muszę świetnie jeździć! Rotmistrz spojrział na mnie jak na wariata, tak jakbym co najmniej żądał tego, by nauczył mnie w miesiąc wyższej matematyki.

Ale byłem uparty, przysięgałem, że wytrzymam nawet tortury, nie opuszczę żadnych zajęć, będę mył i czyścił konia, wynosił gnój, byle zdążyć na czas. No cóż. Rotmistrz musiał dać mi szansę. Ale wybrał metodę najbardziej drastyczną. Przydzielił mi rumaka — potwora, który jak chyba żaden inny koń zasługiwał na swoje imię: Hultaj! Żaden z wyczynowych zawodników nie chciał na nim jeździć, kiedyś pod słynnym Babireckim uciekł z trasy. Kiedy wyprowadzano go ze stajni i wskakiwałem mu na grzbiet, natychmiast zawracał i nie bacząc na to co wyczyniam z wodzami, gnał z powrotem pod dach. Musiałem uważać, by nie huknąć czołem w powalę. Sportowcy podśmiewali się ze mnie, widzieli, że Olędzki zastosował skróconą metodę szkolenia, która najczęściej kończy się zniechęceniem delikwenta. Wszyscy czekali kiedy spadnę z konia, kiedy się boleśnie potłukę i więcej nie przyjdę. Ale ja... ja chciałem spaść! Nikt nie wiedział, że w latach gimnazjalnych chodziłem na kursy dżudo do Gwardii, że trener Banaszak uczył mnie techniki przewracania się i że teraz czekałem na moment, w którym wywinę pół salta i jak gdyby' nigdy nic wstanę, otrzepię się z kurzu i znów dosiądę Hultaja. Jak na złość nie spadałem. Rotmistrz nie pozwalał używać mi strzemion. Uczył mnie tak zwanego siadu widlastego, takiego jak za dawnych lat, gdy jeździec musiał mieć wolne ręce do walki. Nie mogłem się przyznać, że właściwie mam wszystkiego dosyć, że krwawią mi rany na udach i łydkach, że mam obwiązane

bandażami kolana i potworny ból niemal rozszczępia mi kręgosłup. Robiłem dobrą minę do złej gry.

Po kilku dniach Hultaj zamiast zawracać do stajni galopem, wracał bokami, jeszcze po kilku — tyłem. Wreszcie nadszedł dzień, gdy zrezygnował z ucieczek. Nasza walka, twardych, nieustępliwych charakterów powoli zaczynała przynosić zwycięstwo. Janek Kowalczyk, jeździec nad jeźdźce wyznał mi w chwili szczerości, że miał niemal lzy w oczach gdy patrzył na moje tortury, ale teraz, gdy mam już wszystko za sobą przyjmują mnie do swojego grona i pozwalają się przesiąść na normalnego konia. Boże! Nagle stwierdziłem, że umiem jeździć! Cóż za rozkosz gdy na delikatny, minimalny mój ruch zwierzę bezbłędnie reaguje, wykonuje posłusznie każde polecenie. Zaczął się dla mnie nowy etap jeździeckiej edukacji. Szukanie utrudnień, próby różnych ewolucji. Po tygodniu jednak już zatęskniłem za swoim brutalem. Przekonałem się, że coś, co przychodzi bez trudu, jest mniej atrakcyjne, nie daje takiego zadowolenia. Zbliżyły mi się rany, skóra na udach i łydkach jeszcze różowa i błyszcząca przypominała o poniesionym bólu, ale chętnie bym znów zmierzył się z moim potworem, by raz jeszcze go poskromić”.

**Patrzę na siedzącego przede mną młodego, smukłego mężczyznę w dżinsowej kurtce, na jego inteligentne, myślące oczy i płowy, sarmacki wąs i nagle stwierdzam, że przecież jest on rówieśnikiem Roberta Gadochy i Ryszarda Szurkowskiego, że równo z nimi wystartował w życie, w tym samym czasie dokonywał wyboru celów i rozpoczynał ich realizację. Czy osiągnął mniej czy więcej? Czy da się to w ogóle porównać i zmierzyć. Czy na jedną szalę można rzucić kilkanaście wspaniałych kreacji zdobywających uznanie chyba wszystkich rodaków, a na drugą tytuły najlepszych na świecie, złote medale i cudowne bramki? Wycofuję się z tych myśli. Choć natrętne, są niepotrzebne, do niczego mnie nie doprowadzą. Ale oto przychodzi myśl nowa: azali Olbrychski sam nie jest znakomitym sportowcem? Czy to co pokazał w „Potopie”, „Bokserze”, „Popiołach” nie pozwala zaliczyć go także do naszego, na pozór hermetycznie zamkniętego środowiska?**

„Możecie się ze mnie śmiać, ale marzę o tym, by choć raz znaleźć się na liście najlepszych sportowców, za ten trudny do zmierzenia wysiłek, który z Kmicica czyni Kmicica prawdziwego, który bohaterom innych filmów nadaje autentyczności. Dwa lata temu jeden z asów naszej lekkiej atletyki zapraszał mnie na wódkę. Jak to? — zdziwiłem się. Przecież za miesiąc masz igrzyska olimpijskie... No tak — odparł. Ale to przecież dopiero za miesiąc... A ja mam swoją olimpiadę codziennie! Na scenicznych deskach, na próbach, przy uczeniu się roli, podczas zdjęć filmowych i w codziennym, sportowym treningu. który mnie do tego wszystkiego sposobi. Nie przesadziłem. Przygotowania do „Popiołów” nie były wyjątkiem, czy jakimś specjalnym przykładem poświęcenia. Kiedy miałem grać z Leszkiem Drogoszem w „Bokserze”, postanowiłem nie tylko nauczyć się udawać pięściarza, ale spróbowałem być nim naprawdę. Przyszło mi o tyle łatwiej, że już kiedyś tę dyscyplinę „liznąłem” w sali warszawskiej Polonii pod okiem „Munia” Małeckiego i Wieńczysława Kosinowa. Wtedy chciałem nauczyć się unikania ciosów, nie spieszyło mi się do prawdziwych walk, udziału w turniejach. Ale teraz chciałem zasmakować co to znaczy dostać w nos, walczyć bez pozoracji, na całego. Pojechałem z bokserami na obóz do Cetniewa. Przyjęli mnie życzliwie, jak swojego. Robiłem to co oni. Poranne biegi po wydmach, skakanka, ćwiczenia na workach i gruszkach, a potem kask na głowę i walki. Biłem się z Jakubowskim i Heblem, z Carukiem i Montewskim. sparowałem z Rynkiewiczem. Nieraz kończyłem z podbitym okiem, z hukiem w głowie, z rozciętą wargą. Ale o to mi chodziło. Chciałem być aktorem prawdziwym, w którego wierzyłby każdy widz kinowy. Chwalił mnie potem Jurek Kulej, że nawet w scenie, podczas której akcja rozgrywała się w szatni, zachowywałem się jak prawdziwy sportowiec. No bo po prostu ja naprawdę bywałem w szatni nie po to, by ich podpatrywać, ale jako zwykły, obity jak gruszka zawodnik. Nie mu-siałem więc udawać. Ja to czułem.

Prawdę mówiąc pewien impuls do traktowania serio własnego fizycznego rozwoju dał mi... James Stewart i film „Okno na podwórze”. Ten świetny amerykański aktor wielokrotnie występował w westernach, był odważny, silny, jednym ciosem rozwaliał szczęki. I oto w tym właśnie filmie, gdy zdjął koszulę okazało się, że to wszystko była blaga. Chude ręce, rachityczna pierś. Straciłem cały sentyment nie tyle do niego, co do postaci, które odtwarzał i które jakoś tam lubiłem. Natychmiast poszli

u mnie w cenę tacy aktorzy jak Kirk Douglas czy Burt Lancaster. Oni nie robili mistyfikacji. Mogłem wierzyć, że ich bohaterowie są prawdziwi, naprawdę u-mieją jeździć konno, dobrze strzelać, pływać, bić się na pięści. Wiara widza w to, że za pięknymi scenami nie kryją się tricki techniczne i zespoły kaskaderów, lecz autentyczna klasa wykonawców, musi podnieść jakość odbioru i uznanie dla aktora. Niepotrzebnie więc podśmiewali się ze mnie niektórzy koledzy, kiedy wyciągałem spod łóżka hantle czy sprężyny, kiedy rano, nawet podczas urlopu, wybiegałem z domu na pięciokilometrowy cross. Widziałem, że ten wysiłek kiedyś będzie procentować. Nie umiałem określić kiedy i jak, bo przecież nie sposób przewidzieć jakie dostanę role. Ale sport nauczył mnie tego, że żadna praca nie idzie na marne, nawet gdy długo nie widać jej skutków. Gdy jako czternastolatek zapisałem się do sekcji szermierczej Pałacu Młodzieży w Warszawie dziwiło mnie dlaczego nie dostajemy do rąk floretów i szabel, po co ta nudna praca nóg i refleksu. Nie wytrzymałem wówczas długo po „Pierwszym Kroku”, choć udanym, zainteresowałem się hokejem, potem biegami, dżudo i boksem. Ale oto biorę podczas filmowej próby szablę do ręki i widzę, że coś mi z tamtych lat zostało. Może nie technika, której od nowa muszę się uczyć dla potrzeb teatru i filmu u znakomitego Waldemara Wilhelma, ale na pewno przekonanie, że warto wierzyć fechtmistrzowi, przyjmować jego uwagi, być cierpliwym i nawet to co nudne, nieciekawe i męczące wykonywać w pokorze.



Stoczyłem niedawno przed kamerami telewizyjnymi polemikę z Jerzym Pawłowskim na temat pojedynków na scenie i w filmie. Starłem się udowodnić najlepszemu szablicie wszechczasów, że dzisiejsza, sportowa szermierka, to jednak nie to samo co dawniej, że konwencja walki musi być dla aktora inna, dająca mu pełne poczucie bezpieczeństwa, a widzowi przekonanie o prawdziwości sytuacji. Pogodzenie jednego z drugim jest trudne. Sportowiec może walczyć na całego, gdyż wie, że krzywdy rywalowi nie zrobi, że szabla nie jest ostra ani ciężka, a maska obroni głowę i oczy. My zaś walczymy

szablami ostrymi. I Kmicic i Wołodyjowski i bohaterowie teatralnych dramatów. Podjęcie takiej dyskusji z mistrzem byłoby niemożliwe, gdybym sam kiedyś nie skosztował szermierczego sportu, gdybym był tylko wyuczonym aktorem. No a potem, na zakończenie programu chwyciliśmy za szable i stoczyliśmy prawdziwą walkę. Nie wiem czy wygrałem, czy Jurek dał mi wygrać, ale do dziś czuję ogromną satysfakcję z tego, że widzowie są przekonani o tym, iż w żadnej mojej roli nie było bluffu.

Czasem moje wysportowanie sprawia kłopot. Oto pierwsza część „Potopu” i scena porwania księcia Bogusława przez Kmicica. Najpierw była prezentacja konia, fortel mający zasadnicze znaczenie dla całej akcji.

Wiedziałem, że jest to ogromna szansa pokazania widzom sztuki ujeżdżania, mało u nas znanej a jakże trudnej i pięknej. Okazało się, że Film Polski nie dysponuje odpowiednim koniem. Zaproponowano mi wierzchowca z cyrku. Odmówiłem. Pojechałem do stadniny w Liskach i uprosiłem przyjaciela, Antosia Pacyńskiego, aby pozwolił mi dosiąść swojego Hermesa. Teraz dopiero do tego, co tak pięknie opisał Sienkiewicz, można było dołączyć godny tekstu obraz, poszerzony ponad pierwotne zamiary scenarzysty. Zaczęły się znów tygodnie ciężkiej pracy w siodle, męczącej, ale jak zawsze nie bezowocnej...”

*...Żołnierze podali konia i pan Andrzej siadłszy począł go objeżdżać wedle kołowrotu. Pod biegłym jeźdźcem koń wydal się jeszcze dwakroć piękniejszy. Śledziona grała w nim, gdy szedł rysią, oczy wypukłe nabrały blasku i zdawało się, że chrapami wyrzuca ogień wewnętrzny, a grzywę mu wiatr rozwiał. Pan Kmicic zataczał kola, zmieniał chody, na koniec najechał tuż na księcia, tak że chrapy konia nie były dalej jak o krok od jego twarzy i krzyknął:*

— *Alt!*

*Koń wsparł się czterema nogami i stanął jak wryty.*

— *A co? — rzeki Kmicic.*

HENRYK SIENKIEWICZ „POTOP”